

## Ostatnie dni Batalionu „Zośka”

Andrzej Wolski

Nagle na niebie pojawiły się małe kadłuby samolotów. Ich czerwony kolor świetnie kontrastował z błękitem. Leciały z zawrotną szybkością pobłyskując wesoło metalem skrzydeł. Był ranek czternastego września. Armia radziecka musi być blisko. „Migi” zniknęły nagle, tak jak się pojawiły. Nie słychać artylerii przeciwlotniczej. Może nie zdążyli nacelować. Jakoś raźniej. Andrzej przyszedł z wiadomością, że jest już nawiązana łączność z tamtym brzegiem. Tymczasem Niemcy nacierają wzdłuż Czerniakowskiej. Walki toczą się już na Okrąg. Wczoraj nie zaniósłem babci chleba. Może już niedługo. Wiemy wszystko. Los 27-ej dywizji wołyńskiej przypieczętowany zdradą partyzantki radzieckiej. Ginie dowódca, major Kiwerski, nasz dawny „Dyrektor” KEDYWU. Nasi chłopcy, którzy zdobyli Wilno, rozbrojeni przez armię radziecką, powywożeni do obozów. Generał „Wilk” aresztowany wraz z oficerami. Ale może wszystko się zmieniło. Przecież niemożliwe żeby nie pomogli, będąc z drugiej strony Wisły. A poza tym Anglia, Ameryka nie zostawia nas samych.

W południe rozkaz: ostre pogotowie! Przygotować broń! Uzupelnąć amunicję! Zdaje się że nasz „urlop” skończony. Pojawiły się patrole niemieckie na przedpolu Sejmu. Chyba zbliża się generalne natarcie. Na razie, aby utrzymać pozycje do zmierzchu. Niemcy nie lubią ciemności.

Całe popołudnie nic się nie dzieje. Od strony Okrąg ucichło trochę. Robi się ciemno. Może noc będzie spokojna. Ledwo przemknęła mi przez głowę taka myśl, kiedy wpadł biegiem Morro, wykrzykując już z daleka: - Przygotować się do natarcia! Za godzinę wymarsz. „Witold”, „Słoń”, „Jur” do mnie !

Jest nawiązana łączność z armią Berlinga. Musimy oczyścić brzeg Wisły, aby stworzyć przyczółek dla desantu.

Przełykam szybko ślinę ze wzruszenia. A jednak... Przecież wierzyłem, że nie może być inaczej. Jednym uchem chwytam, że musimy dotrzeć do Solca i posuwać się w kierunku Wilanowskiej - będzie terenem lądowania. Czyszczę z zapalem mojego peema zdobytego na Woli. Wszystko chodzi świetnie. Niestety mam tylko jeden magazynek zapasowy. Ładuję po kieszeniach panterki naboje luzem. Trochę drżą mi ręce, ale to zawsze zanim pierwsze strzały nie padną.

Idziemy, czarną zupełnie ulicą. Nie wiem, kto jest przewodnikiem, natomiast rozpoznaje ulicę Mączną. Mijamy ruiny dobrze znanej mi kamienicy. Żeby tak babcia wiedziała, że przechodzę tuż obok. Czy w ogóle jeszcze żyje? Tyle dni nie byłem. Nagle słychać warkot motoru. To chyba nie czołg. Inny dźwięk i ... no tak, warkot płynie z nieba. Nad nami przelatuje wolno i nisko czarny cień dwupłatowca.

- „Jur” podciągaj – dobiega mnie głos „Słonia”. – Przed nami Solec. Biegnij teraz z „Haliczem” po drugiej stronie wzdłuż muru.

Nagle od strony domów na Solcu pada seria z kaemu. Kule walą po jezdni i biją wcale niedwuznacznie w naszą stronę. Co najdziwniejsze, że w świetle powtarzających się serii widzę, że karabin wali przez okienko piwniczne, przed którym stoi okrzakiem „Słoń” i boi się ruszyć, bo strumienie kul przelatują między jego nogami, krzyczy teraz w przerwach między salwami. Nareszcie w ciszy rozlega się głos z piwnicy. – Któż tam do cholery się kreci? – Biegniemy dalej. Mur już skończył się. Po prawej stronie rzeka. Przez wysokie trawy prześwituje biały kadłub na pół zatopionej „Bajki”. Pamiętam ten statek doskonale. Jeździliśmy nim ze szkołą na wycieczki do Młocin. Nagle serie erkaemów klekoczą od strony statku. Serie tak krótkie powtarzają się z regularną częstotliwością. To Niemcy. – Naprzód – krzyczy „Słoń”. Strzelanina coraz mocniejsza. Pewno pluton „Alek” atakuje. Biegniemy dalej. Słychać wybuch granatów. Zaczyna dzień. Przed nami wylania się biały domek stojący samotnie na piasku. Widać już wodę. Krzaki, w których ciągle stoimy, ciągną się prawie do samej rzeki.

„Jur”! Bierz „Halicza”, „Szczęsnego” i „Medyka” i biegnijcie w stronę brzegu. Macie ubezpieczać nasze podejście do białego domku. Licho wie, co tam siedzi. Uważajcie bo na „Bajce” macie Niemców.

Pobiegliśmy szykiem luźnym między krzakami, by zająć stanowiska bojowe. Już miałem krzyknąć padnij, gdy zaczęły bić kule krótkimi seriami rozpryskując piasek przed naszymi stopami. Padliśmy między krzakami.

Halt! Halt! Za chwile coś ciężkiego upada nie opodal. Granat rozpryskuje tuman piasku. Boje się strzelać, bo w gęstych krzakach nie widzę swoich. Niemcy coś krzyczą. Znowu serie erkaemów. Muszą być bardzo blisko, bo czuć zapach prochu. Wpadam prawie na „Szczęsnego”. Korzystam z przerwy w ogniu i krzyczę żeby się wycofać w stronę domku. Tam gdzieś musi być „Słoń” z resztą plutonu. Przez krzaki przeczołguje się reszta. Posyłam serie na ślepo w stronę Niemców, podrywamy się i szczęśliwie docieramy do białego domku. „Słoń” z resztą penetruje poczerńiałe od ognia niskie murki, pozostałości po jakiś wypalonych budkach. Świetna obrona przed ogniem erkaemów. Na razie od tej strony cisza. Wydaje się jakby ostatni wysunięty punkt niemiecki był na „Bajce”. Po drugiej stronie Solca trzypiętrowy dom na rogu Wilanowskiej. Wobec spodziewanego desantu, chłopcy wywiesili, od strony rzeki, biało-czerwoną flagę. Nagle zaklekotała seria z erkaemu. Świetlane kule przeleciały wzdłuż ulicy. Już wiedzą o nas. „Słoń” kazał obsadzić murki na przedpolu białego domku. Znowu cisza. Wiatr powiewa podnosząc pył z piasku. Pojawiła się nagle złota czupryna Andrzeja Morro.

- Co u was?

- Spokojnie

- Musicie obsadzić stanowiska bliżej brzegu. Niedługo powinni lądować. Ja niedawno byłem prawie przy kościele. Niemcy chyba wycofali się za most. – Andrzej wskoczył za murek. – Zróbcie stanowisko przy tych dużych kamieniach – rzekł wskazując ręką miejsce. Pobiegłem wzrokiem za jego palcem. Padł strzał. Odruchowo schyliłem się. Ech tylko jeden, pewno przypadkowy. Nagły okrzyk „Słonia” przeszył dziwną ciszę.

- Sanitariuszka! – Głos wydobywał się prawie ze szlochem.

Biegiem, Andrzej ranny!!! Uwaga ostrzał!

Z mojego stanowiska widzę tylko wydmnę piasku. Murek przesłania mi miejsce gdzie przed chwilą stał Andrzej. Zosia wstała z kolan. Widzę jej twarz szara, nieruchomą.

- Trzeba przenieść rannego do szpitala – krzyczy „Słoń”. Nagle milknie widząc wpatrzony w niego wzrok Zosi.

- Andrzej nie żyje. – jej głos jest spokojny, tylko łzy płyną cicho po jej policzkach. Właściwie dopiero teraz naprawdę dociera do mnie rzeczywistość. Wszystko odbyło się tak nagle, tak prosto, że zakrawa to na fikcję. Nie w boju, nie w ataku, nie w huraganowym ogniu, tylko ot tak, jakby od niechcenia... jeden strzał i cisza... i nie ma już tak wspaniałego człowieka, odważnego dowódcy...

- „Jur” zobacz za rzekę, jada łodzie! – „Halicz” podbiegł do mnie schodzimy na brzeg. Jedna już dobiła. Wyskakuje trzech żołnierzy. Zielone mundury, miękkie rogatywki. Dziwny orzeł przyczepiony nad daszkiem. Już wiem. Bez korony. Coś mi błyska z historii, orzeł piastowski. Dwóch ma pistolety maszynowe. Trzeci z dużym pistoletem u pasa, zbliża się do mnie, jego niebieskie oczy badawczo patrzą na mnie, jakby chcąc przewidzieć moje przywitanie i nagle padamy sobie w ramiona. Czuje oddech blisko mojego ucha.

- Słuchaj, ja też jestem z AK, z Wołynia ... ale nie mówcie tego przy żołnierzach.

Wysyłamy wiadomość na Wilanowską. Przybiega „Witold Czarny”.

Gonią za nim serie pocisków. Podchorąży melduje się jako dowódca zwiadu. – Trzeba jak najszybciej do „Radosława”

Skaczemy przez ulice. Uwaga silny ostrzał! Biegiem!

Tupoczą nasze buty rozgniatając gruz i okruchy szkła. Nagła seria wstrząsa powietrzem. – Szybciej! Kule biją po jezdni. Podchorąży potknął się, nie, pada trafiony. Brać go pod pachy! Nogi bezwładnie wloką się po bruku. Jesteśmy. Pierwszy opatrunek. Podchorąży przytomny, ale bardzo blady, lekko się uśmiecha. Już są nosze. Cześć wszystko będzie dobrze... No to już niedługo. Rusznice ppanc. Cekaemy, wprawdzie stare Maximy, ale piorą, nawet działka ppanc. I ludzi mnóstwo. Żołnierze, dowódca major, kapitan zwiadu artyleryjskiego, dwie radiostacje, telefoniści, chłopaki z pepeszami i amunicji do cholery. No i dziewczyna oficer.

- No paddawaj, paddawaj, bystro job twoja mać – pokrzykuje zachęcająco. Jej zielona spódnica ściślo opina potężne pośladki, a żołnierska bluza wzdyma się wysoko na piersiach wzbudzając ogólny podziw.

- Czto tak smatrisz - zagadnęła nagle, a jej puciołowata twarz śmiała się od ucha do ucha. Czto ty dziewczoczki nie widział? – Buchnęła mi krew do policzków.

- „Jur”! Biegiem na brzeg z czterema ludźmi – dobiegł mnie głos „Słonia”. – Przeprowadźcie czterech naszych rannych do łodzi. Uwaga na „Anodę”! – Właśnie przybiły jeszcze dwie łodzie. Zaroiło się od zielonych mundurów. Prostokątne skrzynki z amunicją wędrują z rąk do rąk żywego transportera. Najgorzej przez Solec. Wprawdzie dwa działka z cekaemami ubezpieczają, ale z Niemcami nie przelewki. Na razie dziwna cisza. Niemcy na pewno zaskoczeni desantem czekają rozkazów. Ale to już nieważne. Z taką siłą to nie ma mowy. To nie peemy i pojedyncze karabiny maszynowe z bardzo ograniczoną amunicją. Jutro na pewno wypad na Czerniakowską, żeby odbić stracone pozycje na Okrąg a stamtąd... hej atak na Książęcą, dwie grupy dywersyjne, może my... przez ogród prosto na Sejm i od tyłu, Wiejska na Piusa i do naszych w Śródmieściu. Ale będziemy krzyczeć, jak wtedy kiedy przebiliśmy się ze Starówki: nie strzelać! Tu Polacy, tu Czerniaków, idzie cała armia z nami! Nie strzelać!! Wygraliśmy powstanie..!!

Nagle z dala dobiega moich uszu... Hej chłopcy bagnet na broń... Łódź z rannymi odbija powoli. Plusk wioseł cichnie. Długa droga przed nami ciężki trud... Biegniemy. Solec, już Wilanowska. ...lecz co znaczy dla piechura, choćby diabeł sam. Bo dla naszej kompanii szturmowej nie ma przeszkód i nie ma złych dróg... Teraz już ja ryczę na całe gardło: Raz batalion Uderzenia, kiedy walił przez wieś, wychyliła się panienka w piersi twarda w sercu miękka... - Zaterkotał karabin maszynowy. Gdzieś z bliska.

- Wszyscy na stanowiska – krzyknął kapitan „Jerzy”.

Serie powtórzyły się. Tor świetlanych pocisków biegł jednak skosem w górę. Po chwili po ciemniejącym już niebie przesunął się bezszelestnie, na zamkniętym silniku, cień kukuruźnika. Po czym z wielkim szumem spadł na parcele między domami duży worek z jak się okazało, sucharami czarnego chleba.

Zbudził mnie tupot nóg, rozkazy wydane półgłosem, szczęk repetowanej broni. Spałem noc beztruską na pierwszym piętrze, z wielkimi marzeniami, spokojny, że nareszcie ktoś za nas trzyma wartę. Słyszając odgłosy wyraźnych przygotowań do walki znów popadłem w stan radosnego podniecenia. Z dołu dochodzą głosy radiotelefonistów. Poniał, poniał, Semion, Semion tu Jarpoł, tu Jarpoł, poniał, poniał... Łączność jest. Luksus. Będzie dobrze. Świst pocisku wierci w uszach. Padnij! Sypia się odłamki z gruzem. Co do cholery? W ścianie nieduża okrągła dziura, jakby wywiercona wielkim wiertłem. Czołgi. Drugie uderzenie wstrząsa domem.

- Wszyscy na stanowiska – krzyczy „Witold”. – Atak czołgów! Rusznice! Na stanowiska!! – Głos „Witolda” wyraźnie chrypie. Dopadam mojego poharatanego okna. Od strony kościoła suną wolno cztery „pantery”.

- Rusznica ppanc. Wychodzić biegiem! – „Witold” krzyczy coraz mocniej. Maruszka wyrosła jak spod ziemi. –Bystro, bystro sukin-syn, uhadzi, w pieriod ty job twoja mać!

„Jur”! Gamony!

Pstre cielsko czołgu sunie powoli na nas. Odbezpiecz granat. Czarna wstążeczka bezpiecznika przytrzymuje bujający się ciężarek z ołowiu, który w locie wyciągnie zawleczkę

i wyzwoli zapłon. Boże, żeby tylko nie za wcześnie. Wytrzymać nerwy, jeszcze trochę... Wychyłam się, żeby mieć zamach. Nagła seria z wieżyczki trafia w ramę okna tuż nad moją głową. Sypia się drzazgi. Rzucam gamon. Jeszcze jedna seria i nagły huk wstrząsa powietrze. Dym. Nic nie widać. Z boku dwa potężne strzały. To rusznice berlingowców. Poprzez zgrzyt metalowych gaśnic przebijają podniecone głosy Niemców. Z opadającego kurzu wyłaniają się cielska uciekających czołgów. Wieżyczka ostatniego jest wyraźnie przechylona. Serce zabiło mi mocniej. Po chwili do naszych uszu dochodzi odgłos pojedynczych strzałów od strony Czerniakowskiej. I nagle zrywa się huraganowy ogień broni maszynowej. Zaczęło się natarcie. Henio spojrział na mnie i uśmiechnął się dziwnie. Nieopodal stał kapitan zwiadu artyleryjskiego i wsłuchiwał się zadumany, jakby chcąc ocenić fachowym uchem losy bitwy. Ciszę przerwał „Witold”.

- Na stanowiska, ataki czołgów mogą się powtórzyć!

Słowa jego były prorocze. Ledwo wróciłem do mojego okna, kiedy zaczął się huraganowy ogień granatników. W podchorążówce uczono nas, że to jest klasyczne przygotowanie do ataku. Znów nerwy napięte. Czaimy się za murami. Ale tam przecież nasi atakują. Było przygotowanie artyleryjskie, atakiem dowodzi major Łatysonok, oficer zaprawiony w walkach. Pod bokiem ma pułkownika „Radosława”, no i tyle wojska i to z jakim uzbrojeniem. Zaterkotał nasz „Maxim”. Długie serie, jedna po drugiej. Odezwały się peemy, teraz wybuch granatów ręcznych. Nowy atak. Boże żeby tamci już skończyli. Aby tylko doszli do Placu Trzech Krzyży. Tam już są nasi... Tu biegną Niemcy tyralierą. Zmieniam już drugi magazynek. Znów z mojego okna lecą drzazgi. Wtulam się w mur. Twardy nie ustępuje. Skądże ich tyle się wzięło? Jest! Jeden leży. Nasz cekaem rżnie bez przestanku. Uciekają. Jest! Trafiony jeszcze jeden. Dobrze, że berlingowcy przywieźli amunicję. Co za cisza. Dzwoni w uszach. Od strony Czerniakowskiej też głucho. Poszli naprzód...?

Pierwszy wpadł Łatysonok. Obrzucił nas błędnym wzrokiem.

- Gdzie kapitan? – rzucił zachrypłym głosem.

- Kapitan, bystro agoń, bystro!

Zaroiło się od zielonych mundurów. Pierwsza partia. Niestety... pierwsza i ostatnia.

Prawda okazała się jak zwykle okrutna. Żołnierze, którzy na ochotnika wylądowali na przyczółku, by nieść nam pomoc, byli parę miesięcy temu zrekrutowani na polskich ziemiach. Nie było czasu, żeby ich wyszkolić, szczególnie do walk w mieście. Wstrząśnięty patrzę na te twarze oblane potem, brudne od kurzu walących się murów i te oczy obłądnie szukające kolegów, z którymi wyszli do ataku.

Noc ostrego pogotowia. „Jerzy” spodziewał się dalszych ataków niemieckich. Nie nastąpiły. Dalsze forsowanie Wisły nie udaje się. Niemcy już zorganizowali zapórę ognia z mostu Poniatowskiego. Tej nocy z kilkudziesięciu wysyłanych łodzi dobija do nas zaledwie kilka. Kapitan „Jerzy” decyduje ewakuować rannych. Jest ich coraz więcej.

Od rana nieustający ogień ze wszystkich rodzajów broni. Gdyby nie artyleria sterowana przez kapitana zwiadu, to czołgi rozniosłyby w pył nasze pozycje. Okrąg jeszcze się broni. Większość jest rannych. My trzymamy Wilanowską 5 i 1, oddzielone wolną parcelą. Duszą obrony jest „Witold Czarny”. Solec 53, z którym mamy połączenie wykopany rowem, jest prawie nie obsadzony. Dom jest wypalony. Leżą tam w ciepłym jeszcze popiele, nasi ranni. Major Łatyszonek nie odchodzi od radiostacji. – Dajcie pomoc, dajcie pomoc.

Znowu granatniki. Aby tylko do nocy. Niemcy boją się ciemności. Ale czuwać trzeba. Jest nas coraz mniej. Za to jeść się chce coraz bardziej. Został podobno już tylko jeden worek sucharów. Szczęśliwie zastrzelono konia, który nie wiadomo skąd pojawił się nagle w samym środku walki. Niestety leży na przedpolu. Każda prawie wyprawa po mięso kończy się stratami. Głód można zapomnieć, ale pragnienie wysusza gardło. Już nie starcza śliny do przelknięcia. Słońce jak na złość pali bez litości. Żeby choć parę kropel spadło. Otworzyłbym szeroko usta i wychylił się do nieba. Czy jest naprawdę niebo? Jakie? Niebieskie? Pełne aniołów? A może to olbrzymie górskie źródło pełne lodowatej, przezroczystej do dna wody... O Boże...

- „Jur”! Nasza kolej, idziemy po wodę.

Jesteśmy już w domu na Solcu. Odór ropiejących ran uderza w nozdrza. Każde nasze stąpienie podnosi tuman popiołu. Ranni zaczynają się krztusić. Woody! Pić! Cicho bo pobudzą Niemców. Czołgam się na boku przez jezdnię trzymając jedną ręką dużą bańkę od mleka tak aby nie bębniła po bruku. Zdobywcze manierki, przypięte do paka, odbijają się beztrudnie za każdym poruszeniem, wprowadzając mnie w stan przerażenia. Wydaje mi się, że hałas jest tak duży, iż dolatuje z łatwością do mostu. Przywieram do jezdni i czekam strzałów. Cisza. Znowu naprzód, ręce już mi mdleją, jeszcze trochę, jeszcze kawałek. Nagle ręką dotykam piasku. Jestem na brzegu. Czekam na „Śpiocha”. Jest. Dyszymy ciężko. Teraz do wody. Krzaki nas osłaniają. Leżąc na brzuchu, trzymam obie ręce w wodzie i piję bez pamięci. Co za rozkosz. Chlipiemy niesamowicie. Teraz bańki. Na chwilę kładę się na wznak. Niebo, gwiazdy, tam nie ma wojny. Wielki wóz, Kasjoepa ... och jak dobrze...

- „Jur” zbieramy się.

Powrót trudniejszy, ale nie mogę uwierzyć, żeby się nie udał. Bańka cholernie ciężka. „Śpioch” – idź pierwszy. – Obserwuję z napięciem jego powolne ruchy. Ostrożnie przeciąga bańkę położywszy ją na panterce. Jeszcze raz, jeszcze krok.. Dostrzegam z ledwością jego ruch ręki. Szczęśliwie noc bez księżyca. Zaczynam powoli przesuwając się w stronę budynku. Nagle nade mną biegnie strumień świetlików. Teraz słyszę terkot cekaemu. Nadludzką siłą zrywam się i biegiem, ciągnąc bańkę, dopadam do muru. Osuwam się zły potem. Na jezdni rozpryskują się świetliste pociski.

Walka rozgorzała ze wzmożoną siłą. Wałą w nas czołgi, moździerze, broń maszynowa. Wszystko to zlewa się w jeden nieprzerwany huk. Gruz zasypuje nam oczy. Trzymam kurczowo peema i wpatruje się obłędnie przed siebie nic nie widząc. Trzymam napięty palec na języku spustowym, by móc natychmiast strzelić, gdyby wyłoniła się nagle

sylwetka atakującego. Jest strasznie gorąco. Dodatkowo tortura to czerwotka. Wszyscy jesteśmy chorzy.

- Agoń, agoń bystro, bystro, Semion, Semion, tu Jurapol, dawaj wsie baterie, tanki idut, Semion, Semion...- Potężne eksplozje zagłuszają wołania radiotelegrafisty. Huk wzmacnia się, po czym nagle następuje cisza. Terkoczą jeszcze kaemy. W bramie wejściowej gra jeszcze nasz maxim. To jedyni berlingowcy w boju. Nawet Maruszka nie może wzbudzić entuzjazmu do walki. Biedni chłopcy.

Tymczasem nasza kochana Zosia rozdziela po jednym sucharze i po kawałku surowego mięsa. Pomaga jej dzielnie „Kapralinka”. Dostajemy po kubku wody. Wypiłbym takich dziesięć, tak mam gardło wysuszone, a do tego gruz chrząści między zębami.

Już świta. W szarzyźnie wstającego dnia obserwuję ciemną wstęgę Wisły i jaśniejące coraz bardziej domki Saskiej Kępy. Tak niedaleko. I chyba już tak zostanie. Tylko sen. Taki świat już nie wróci do nas. Świat całych, błyskających szybami domków to już tylko wspomnienie. Czuję rozpacz i tęsknotę za czymś, co wydaje się nieosiągalne, już na zawsze stracone. Oglądam się przerażony, bo czuję łzy spływające po policzkach. Biegnę w dół, uciekam sam od siebie.

„Witold”, „Jerzy”, „Słoń” Łatyszonok siedzą dookoła stołu.

- Okrąg i Czerniakowska w rękach Niemców.

- Przecież noc była spokojna.

- „Jur”, powtarzam Ci, przed chwilą łączniczka wysłana z meldunkiem do „Radosława” ledwo wróciła z życiem – krzyknął zdenerwowany „Witold”. „Jerzy” podniósł się raptownie. – „Witold”, wyślij patrole rozpoznawcze. Trzeba widzieć, jaki teren nam został do obsadzenia.

- „Słoń” biegnij do „Kindżała” na Wilanowska 5. Ostre pogotowie. Wszyscy bez wyjątku na stanowiska. Popatrz na nas chwilę, jakby jeszcze chciał coś dodać, po czym zwrócił się do Łatyszonka. – Panie majorze, proszę zawiadomić sztab waszej armii o sytuacji.

Ostatnie słowa padły razem z hukiem rozrywających się pocisków ciężkich moździerzy. Budynkiem zaczęły wstrząsać uderzenia pocisków z „tygrysów”.

Nastąpiły przysłowiowe dni apokalipsy. Zmasowany szturm na nasze uszczuplone pozycje.

-Semion, Semion, agoń, agoń, bystro, bystro.

Przed wieczorem pada Wilanowska 5. Ginie „Kindżał”. Zapalający pocisk pada na dach naszego domu. Teraz teren to płonący dom na Wilanowskiej 1 i wypalony już dom na Solec 53.

Podczas jednego ze szturmów niemieckich ginie „Jerzy”. Jesteśmy śmiertelnie zmęczeni. Podzieliliśmy służbę na trzech. Walka trwa całą dobę. Trzeba czuwać cały czas.

Nasz cudowny maxim ratuje nas w czasie nocnych ataków. Jego długie serie nie pozwalają się zbliżyć atakującym. Załoga cekaemu z troską spogląda na szybko malejący zapas pocisków.

Rano nagle urywa się łączność z drugim brzegiem. Baterie zasilające radiostacje wyczerpały się. Huraganowy ogień szaleje od świtu. Czołgi podsuwają się coraz bliżej, ośmielone brakiem ostrzału artylerii radzieckiej. Jerzy naliczył dziewięć „tygrysów” bombardujących nasze pozycje.

W pewnym momencie między seriami peemu przyszła mi nagle myśl, że baterie ocieplone można zregenerować. Halicz zajął moje okienko, a ja skoczyłem do radiotelegrafistów. Przecież dom się pali, więc ognia nie brak. Była kwestia, kto wczołga się na piętro, bo byliśmy już pod bezpośrednim ostrzałem z erkaemów, ale to zostawiłem im do rozwiązania.

Nastąpiła przerażająca cisza. Jakby nagle zerwała się taśma filmowa w kinie. Nic nie wiem, co dzieje się od strony Solca. Stoję wmurowany w dziurę po pocisku czołgowym od strony Wilanowskiej 5 i z natężeniem wypatruję każdego podejrzanego ruchu. Coś musi się stać. Słyszę kroki, ale z wewnątrz. – „Jur” zejź na dół, odprawa.

Cisza trwa nadal. Piwnica jest pełna naszych. Ochotnicy berlingowcy na czujkach. Przy stole siedzi Łatyszonek, „Jerzy”, „Słoń”, tuż koło mnie „Witold”, a po mojej lewej kapitan artylerii. Maruszka siedzi pod ścianą wyciągając na podłodze swe grube nogi. Reszta stoi w milczeniu. Ciszę przerywa Jerzy.

- Przed chwilą Niemcy przysłali rozjemców. Proponują żebyśmy się poddali. Gwarantują respektowanie konwencji genewskiej. Ranni zostaną odtransportowani do szpitala. Reszta zostanie skierowana do obozu jeńców wojennych. Dają nam godzinę czasu do namysłu. W razie odmowy, przypuszczają natychmiast ostateczny szturm na nasze pozycje, używając wszystkich rodzajów broni zmasowanych dookoła przyczółka.

Przełykam gwałtownie ślinę. W piwnicy absolutna cisza. Dym palącego się nad nami domu wpełza kaśliwymi smużkami z każdym powiewem leniwego wiatru. Wszystko stało się leniwe, powolne, a najbardziej nasze myśli. Tak trudno docierają do świadomości słowa, a właściwie ich znaczenie. Zawisły one w przestrzeni, tuż nad zaczerniałym sufitem. Dlaczego nikt nie mówi? Mam chęć krzyknąć. Strasznie gorąco. Pić chociaż łyk.

- Nasi ranni mają może ostatnią szansę, żeby przeżyć – głos „Witolda” jest przyciszony, ale słowa wypowiedane są wolno, prawie skandowane, brzmia niezwykle wyraźnie. Nie można ich nie słyszeć. Łatyszonek siedzi nieruchomo. Jego lekko mongolska twarz jest jak martwa. Serce mi bije coraz mocniej. Wiem, że chodzi tu o życie i że najprościej uwierzyć, przecież sytuacja beznadziejna, jeszcze te baterie wyczerpane... wybiją nas. A jak się poddamy i nas wybiją...? I w ogóle poddać? My geesy... Nagle przestaję się bać, chce mi się tylko strasznie pić.

„Jerzy” wstaje powoli i spoglądając po nas zaczyna mówić bardzo spokojnym, mocnym głosem.



- Jasnym jest, że musimy wykorzystać okazje i postarać się ewakuować rannych. Nasza sytuacja jest trudna. Ale póki mamy jeszcze broń i trochę amunicji, musimy spełnić nasz obowiązek do końca. Dostaliśmy rozkaz, by bronić przyczółka, potrzebnego do lądowania wojsk, które mają pomóc naszemu powstaniu. Jeżeli plany się zmieniły, to przecież wiemy, że tu jesteśmy, że jest tu część ich armii. Musimy utrzymać przyczółek. Poprosimy Niemców o dwie godziny rozejmu, aby przygotować rannych do transportu. Kto chce może iść z rannymi, bez broni.

Nastała cisza, którą przerwał „Jerzy” zwracając się do Łatyszonka: - Czy Pan, panie majorze zgadza się z moim planem? – Major wymienił parę słów z kapitanem zwiadu, wstał i uściśnął rękę „Jerzemu”. – Czy zgadzacie się ze mną? – zwrócił się następnie do nas. Po kolei wstawaliśmy podnosząc rękę na znak zgody. Przez chwile miałem wrażenie, że jest to jednocześnie nasze ostatnie pożegnanie.

- Wszyscy na stanowiska, „Słoń” przyszykuj białą chorągiew, pójdziesz ze mną. „Witold” zarządz zbiorke wszystkich dziewcząt. – „Witold” podszedł do mnie. Błysnął w oczach ten jego kpiarski uśmiech. Klepnął mnie po ramieniu, przymrużył filuternie jedno oko i powiedział: - Wszystko będzie klawo, aby do wieczora. W nocy przeplnę na Saska Kępe, i jutro będzie desant. Na razie zostajesz komendantem placu. Czuwaj, nie spuszczaaj oka z bramy i strony od Wilanowskiej.

Sprawdź, czy cekaemiści mają naładowane zapasowe taśmy do maxima.

Wspiałem się jedno piętro i stanąłem w oknie, by mieć dobry widok na bramę. Widzę stad nawet kawałek rzeki. Po chwili czuję, że coś jest nie tak, że przedtem... no tak brak eksplozji, wybuchów, sypiącego się gruzu, terkotu kaemów. Cisza wprost niemożliwa. Zaczyna ogarniać mnie znużenie. Dwie doby nie zmrużyłem oczu. Z moich wyliczeń wynika, że jest 23 września. „Jerzy” ze „Słoniem” wrócili. Niemcy przyjęli warunki powtarzając pogrożki. Formuje się pochód rannych pomieszanych z resztkami ludności cywilnej. Powstaje problem. Żadna z naszych łączniczek i sanitariuszek nie chce iść na ochotnika do niewoli. Jerzy musi wyznaczyć rozkazem ekipę sanitarną. Wreszcie rusza długi rząd ludzi cieni, prowadzony przez białą płachtę zawieszoną na długim kijku. Co czują Ci ludzie?. Są zrezygnowani. Widzą przed sobą ostatnią szanse. Oby tylko nie podzielili naszego losu. Czy to nie są dwa wyjścia do tego samego piekła?

Jeszcze prawie godzina zawieszenia broni. Panująca cisza zdemobilizowała nas zupełnie. Wszyscy chodzą po wypalonych piętrach. Z drugiej strony Wilanowskiej widać Niemców przyglądających się naszym pozycjom. W pewnym momencie widzę radiotelegrafistę machającego z dołu ręką. – Radiostacja ruszyła! – krzyczy szczerząc zęby. Może jednak przeżyjemy.... Stoję oparty o framugę okna, bezwiednie błędę wzrokiem po zrujnowanym podwórzu, w bramie nasz kochany maxim, głowa opada mi ze zmęczenia. Och, żeby tak na sekundę zamknąć oczy... Śni mi się...nie, nie śni! Na środku podwórza stoi żandarm ze Schmeisserem z ręki. Drugi wybiega z garażu. Posyłam serię. Widzę jak jego zielona kurtka znaczy się czerwonymi plamami.. Wskakuje „Witold”. – Alarm. Alarm! Na stanowiska! „Słoń”, „Juras” do...- reszta słów ginie w gwałtownych salwach dreizerów niemieckich. Na podwórze wpadają hand-granaty. Nasz kontratak jest bardzo skuteczny.

Niemcy zostawiają wielu zabitych i co najważniejsze broń, amunicję i w chlebakach knechtbroty, które pożeramy z rozkoszą z zawrotnym tempie.

Tak znów się zaczęło. Nieustająca lawina pocisków wszelkiego kalibru, krzyk rannych, walący się gruz. Gdzieś esesmani wrzucili całe paczki trotylu. Wybuch wstrząsają resztkami ścian. Czekamy bezpośredniego natarcia. Dzięki zabitym żandarmom mam trochę amunicji do mojego MP40, zdobytego jeszcze na Woli. Tak prędko się nie dam. „Witold” skacze przez podwórze. – Łączność z drugim brzegiem nawiązana! W południe, pod osłoną dymną przybędą barki desantowe, aby nas ewakuować! Za wszelką cenę musimy utrzymać przyczółek! – Nagle zaświstały pociski nad naszymi głowami. To Ruscy. Hura!

Hej chłopcy bagnet na broń... - Już myślimi jesteśmy znowuż na defiladzie w Alei Niepodległości w galowych mundurach... - Długa droga przed nami, ciężki trud...

Niemcy ciągle atakują. Od strony Wilanowskiej wysadzili pół ściany. Mnóstwo zabitych i rannych berlingowców, którzy tam się schronili. Czas idzie tak wolno. Dochodzi dwunasta. Wypatrujemy na drugi brzeg, brzeg ocalenia. Nagle przez klekot cekaemów przedziera się okrzyk: Zasłona dymna!!! Rzeczywiście. Pióropusz gęstego dymu zaczyna pokrywać plażę drugiego brzegu. Obserwujemy z zapartym tchem ten gigantyczny dramat, którego jesteśmy jednocześnie widzami i aktorami. Ogień niemiecki ucichł. Oni też czekają. Dym coraz gęstszy, przesuwają się wzdłuż plaży. Widok mnie raduje, ale wydaje mi się, że dym powinien zasłonić całą taflę wody. Tymczasem wyraźnie wiatr zachodni spycha czarną kłębiastą masę z powrotem w stronę białych domków. Wewnątrz domu jeszcze się cieszą, czekają na rozkaz. Ja zaciskam zęby i mam ochotę walić gołymi pięściami w poszarpany mur. No nic, trzeba umierać. Przybiegł „Witold”, klepnął mnie beztrąsko w ramię, chciał pewno powiedzieć coś pogodnego i dojrzał moje oczy. Musiały być przerażające, bo ręka jego zawisała w bezruchu. – Co się stało? – Odepchnął mnie gwałtownie i wychylił głowę. – O cholera jasna – krzyknął i rzucił się pędem w stronę piwnicy, krzycząc po drodze – Na stanowiska, wszyscy na stanowiska! Rusznice! Cekaem!

Wspaniały, poczułem się różnie. Co za refleks. Skąd ta siła i odporność psychiczna. Ja już ślaniem się z głodu i zmęczenia nie mówiąc o ciągłej huśtawce nastrojów. Nie skończył jeszcze wydawania głośnych komend, kiedy gruchnęły pierwsze salwy dział czołgowych. Jednocześnie ujrzałem parę kroków przed sobą wysoką sylwetkę esesmana z wymierzonym we mnie peemem. Jednak byłem szybszy. W bramie zagrał nasz maksim. „Witold” wyczuł nosem szturm. Zmieniam ostatni magazynek. Jeszcze mam jeden hand-granat zdobyty rano. Zagrzmiała rusznica ppanc. Ustal bezpośredni ogień rkaemów. Wycofują się. Jeszcze raz się udało.

Przybiega „Halicz”. – Będzie ewakuacja wieczorem. Jak się tylko ściemni wychodzimy na brzeg, tam gdzie stoi „Bajka”. Artyleria kładzie wał ogniowy na pozycje niemieckie, sto łodzi desantowych przyjeżdża, by nas zabrać na tamtą stronę. Aby tylko do wieczora. – Nie wiem, czy i tam razem śpiewać Szturmówkę. Może lepiej nie, żeby nie zapeszyć. Zaśpiewamy na tamtym brzegu. Patrzę na zegarek. Jest 4.30. Może przetrzymamy. Już wrzesień... Nie dokończyłem dociekań astronomicznych, bo potężny wybuch szrapnela rzucił mnie na ziemię. Duży kawał muru spadł mi na nogę. Ból straszny, ale noga cała, choć

pokrwawiona. Chodzić mogę, więc kuśtykając rzucam się do mojej dziury. Nie szturmują. Za to bombardowanie dużo mocniejszymi pociskami. Chcą nas pogrzebać pod gruzami naszej podziurawionej i na pół spalonej „twierdzy”. Słychać złowieszczy chrzęst gąsienic. Są już gdzieś blisko. Czuć spaliny paliwa. Nagłe wybuch zagłuszają wszystko. Deszcz gruzu bębni po głowie. Wtem widzę szary kontur olbrzymiego cielska. Odruchowo zmierzam z moim peemem i w tym momencie zdaję sobie sprawę z mojego ruchu. Po prostu panika. Nie mam już żadnego granatu. Potężna lufa zakończona jakby małym metalowym koszyczkiem, powoli przesuwa się w moim kierunku. Stoję zahipnotyzowany. Lufa podnosi się teraz i odgaduje, że celem jest okno, które wychodzi z klatki schodowej. Ten strzał zawali wyjście z piwnicy, gdzie jest nasze dowództwo razem z radiostacją. Rzucam się przez podwórze w stronę wejścia. Już prawie dobiegam, gdy olbrzymi wybuch wali mnie na ziemię. Po nim, drugi mniejszy. Ale nic się nie wali, za to słyszę głos „Witolda”: - Cholera ostatni gamon! Rusznica! Poprawić jeszcze raz! Niestety już nie mam rakiet!

Żelazisty zgrzyt gąsienic teraz wróży coś dobrego. Rzeczywiście dopadłszy do dziury widzę oddalający się tył czołgu. Zaczęło się ściemniać, zauważyłem to w przerwie pomiędzy którymś z rzędu ataków. Niemcy oszaleli, a my skamieniałyśmy. Ni pragnienie ni głód, ni śmiertelne wprost zmęczenie nie zdołały złamać naszej woli doczekania nocy. I wreszcie przyszła. I zapomnieliśmy o całym dniu nadludzkich zmagania. Przed nami jeszcze parę chwil oczekiwania, jeszcze trochę wysiłku. Ale co to w porównaniu z tym, co było. A tam w tych białych domkach... - „Jur”! Skaczemy na brzeg. Tylko po kolei. Uwaga przez Solec. Barki dobijają do „Bajki” ale na razie wszyscy padnij na piachu. Artyleria z tamtego brzegu otworzy ogień na cały teren na zachód od Solca. Pociski będą padać blisko. Nie ruszać się do póki ogień nie ustanie. Kolejno maszerować. „Słoń” sprawdzisz czy wszyscy wyszli. Spotkanie przy statku.

Maszerujemy między okropnymi karkasami murów. Chciałbym już być tam na piasku, ale coś mi szepcze, żebym się obejrzał. „Nasz” dom patrzy teraz na mnie swymi upiornymi oczodołami, poczernionymi wybuchami pocisków i ku mojemu przerażeniu oczodoły te mrugają do mnie płomykami ognia. Jest jakaś siła, która mnie ciągnie z powrotem. Nie opuszczaj mnie... Wrócić nie wrócić – „Jur” gdzie Ty jesteś? Słyszę głos „Halicza”. Puszczam się biegiem w stronę Solca. Boję się obejrzeć. Może jednak duchy istnieją...

Grzebię w pisku wygodny rowek. Na razie cisza. Słychać tylko skrzyp piasku ugniatanego licznymi butami. Niemcy chyba jeszcze się nie zorientowali, że opuściliśmy Wilanowską. Znów wróciły do mnie migoczące płomienie. Podniosłem się, by jeszcze raz na nie spojrzeć, gdy nagle olbrzymi pęd powietrza rzucił mnie na piasek. W parę sekund zagrzmiała seria wybuchów. Tuż nad naszymi głowami szybowało tysiące pocisków artyleryjskich skierowanych na pozycje niemieckie. Ten świst ogromnej masy żelaza był głosem lecącej śmierci. Odruchowo wtuliłem się mocnej w piasek. Nagle zapanowała cisza. Za to od mostu Poniatowskiego odezwała się artyleria niemiecka. Widać dostrzegli jakiś ruch na tamtym brzegu. Po paru wybuchach pokazał się ogień w kilku nadbrzeżnych domach Saskiej Kępy. Zrozumiałem ich przebiegłość. Pałace się wille oświetlały doskonale rzekę. Tymczasem słychać już było ruch na tamtym brzegu. Nawet na tle ognia dostrzeżliśmy płynące barki. Niestety były to łodzie na wiosła. Ale płyną. Zaraz tu będą. Jakoś tam

przepłyniemy. Poszły rakiety w górę. Za chwilę na wodę zaczął spadać deszcz pocisków z granatników. Tryskając fontanny wody. Wchodzę na pokład „Bajki”. Ktoś chwytam mnie za ramię – „Kapralinka”. Czuję, że cała drży. Przytulam ją do siebie. Nie bój się, będzie wszystko dobrze.

Staram się ją uspokoić. Gładzę jej bujne włosy w milczeniu. Wydaje mi się, że każde słowo będzie kłamstwem albo uspokajaniem samego siebie. Jej policzek jest mokry. Patrz już widać pierwsze łodzie. Rzeczywiście, przy każdym wybuchu błyskają mokre piórka wiosel, a czarne kadłuby są coraz bliżej. Dobijają dwie barki prawie równocześnie. Trzecia nieco mniejsza zbliża się bezpośrednio do brzegu. Na statku zaczyna się przepychanie. Nawoływania do porządku giną w tumultie i ogólnym chaosie. Przez chwilę miga twarz Jerzego, który usiłuje przekrzyknąć tłum pchający się do przybyłych barek. Pierwsza już odpływa. Woda równo z burtą. Druga niemniej pełna nie może odbić, bo dziób zaplatał się w linę statku.

Mała łódź odbija chyłkiem niosąc na pokładzie Łatyszona i Maruszkę. Wiosłują sami. Wreszcie odbija zaplątana barka. Wiosłarze odpychają natrętnych, którzy usiłują doczepić się do burty. Nagle, niedaleko pierwszej barki wybucha pocisk. Przeładowana, zanurza się błyskawicznie. Krzyki tonących mieszają się z jazgotem karabinów maszynowych. Stoję oniemiały trzymając ciągle „Kapralinkę” w ramionach. Odruchowo przyciskam jej głowę do piersi, tak żeby nie musiała patrzeć na to widowisko apokaliptyczne, nie grane, na żywo, na ten koniec naszych złudzeń. Niech ma nadzieję trochę dłużej niż ja.. Seria kaemu bębni po blachach „Bajki”. To mnie otrzeźwia. Niemcy atakują wzdłuż brzegu! Lecę! Schowaj się gdzieś w kacie. Przyjdę po ciebie! Nie wierzę w moją obietnicę, ale skacze na piasek i tu zaraz wita mnie wybuch granatu. Padam robię wywrotkę i posyłam serię w stronę, gdzie słyszę tupot nóg. Z drżeniem myślę, że to ostatnie naboje. Po kilku skokach dobijam do naszych.

„Jerzy” organizuje przebiecie do Śródmieścia. Tu sytuacja jest beznadziejna. Żadna łódź już nie dobieje. Brak nam amunicji, żeby bronić się dalej. Jedyna możliwość to przebiec się do Śródmieścia. Idziemy w kierunku Placu Trzech Krzyży. Musimy dojść najpierw do ogrodu otaczającego Sejm i Głuchoniemych. Tamtędy dojdziemy łatwo do naszych. Szyk marszu następujący: szpica „Słoń” z „Haliczem”, następnie ja, „Wilka”, „Żereń” i ktokolwiek został z naszych. Następnie pozostali berlingowcy i na końcu „Jur”, który teraz zostanie z cekaemem i będzie nas osłaniał od strony mostu. Przyskoczyłem do maxima. Taśma jeszcze pełna, druga w zapasie. Aby tylko szybko odnaleźli drogę to wytrzymamy. Niemcy mimo nocy, naciskają coraz mocniej. Oczywiście, gdyby nie noc to już dawno by nas zmiotli. Ale długotrwałe serie naszego karabinu były nie do zwalczania. Nasi poszli. Czekamy z napiętymi nerwami. – Chyba się zwijamy. – W ostatniej taśmie parę kul tylko. W tym momencie słyszę tupot nóg. Niemcy? Nie. Berlingowcy. – Co się stało?

- Na przodzie wszyscy zginęli. Musieliśmy się cofnąć. – Sam nie wiem co robić. Nagle słyszę człapanie w wodzie. Ku mojemu zdumieniu w moją stronę idzie Łatyszonek, cały ociekający wodą. Maruszki nie ma. – A sukiny – rzekł krótko i dołączył do swoich żołnierzy. Zaczęło świtać. Zostało nas paru. „Witold” i „Nita” wyruszyli wplaw przez rzekę

jeszcze wczoraj wieczorem, by donieść o sytuacji dowództwu armii. „Wiktor” i „Czart”, ranny w nogę, znikli gdzieś w nocy. Reszta była w czołówce przebicia. Widzę Ole, Irkę, Grażynę. Ze statku wychodzi „Kapralinka”. Koło mnie „Leszczyc”, „Pingwin”, „Sęp” z pustą taśmą od maxima na szyi, „Okularnik”, ktoś z naszych wygrzebuje się z „Bajki”. Zbliża się do mnie Łatyszonek. – Ja poddaje się z moimi ludźmi. Wy jak chcecie – mówiąc to odwrócił się szybko, jakby wstydzić się tego co powiedział i powolnym krokiem odszedł od swoich żołnierzy, którzy powiewali już białą flagą. Przez chwilę stałem zdruzgotany, załamany, bezradnie patrząc w ziemię. To taki koniec haniebny, a marzyło się o bohaterstwie, śpiewało „Śmierć nigdy nie woła”, a inni, co poginęli... Ktoś zawołał: - Coś trzeba zrobić. Tu nie możemy stać na otwartym polu.. Natychmiast otrzeźwiałem. Sytuacja jest beznadziejna, nie mamy już amunicji. Wszyscy rzucać broń. „Sęp weź białą chustkę w rękę! Ostatnie słowa prawie wykrztusiłem. Cos ścisnęło mnie za gardło. Tak to zwykły przypadek zdarzył, że wydałem ostatni rozkaz na Przyczółku Czerniakowskim. Z dala od strony mostu, dały się słyszeć głośne wołania. Idą Niemcy. Podbiegłem do „Kapralinki”. Chcę się z Tobą pożegnać. Już się nie zobaczymy. Mówiąc to wyciągnąłem szybkim ruchem mojego zdobycznego w ataku na Spokojną „Waltera”, spojrzałem w okrągły otwór lufy i już naciągnąłem spust, gdy nagle poczułem gwałtowne szarpnięcie ręki.

- Jędrak! Co Ty robisz? To tchórzostwo! Co ty myślisz, że wojna tu się skończyła. Walka jeszcze trwa. Przysięgałeś walczyć do końca... a ty co? Poczulem się nagle jak dziecko złapane na brzydkiej psocie. Rzuciłem jak mogłem najdalej pistolet i otrzeźwiałem. Jak ja mogłem cos podobnego..? Przecież jej grozi niebezpieczeństwo. – Zdejmij natychmiast panterkę. Masz ty mój medalik od chrztu. Pamiętaj, że jesteś podobna do Żydówki. Masz tu jeszcze mój znaczek geesów. Schowaj go dobrze. Teraz uciekaj stąd, idź do cywilów.

- Ja chce iść z wami!

- Rób, co ci mówię – krzyknąłem. – Uciekaj czym prędzej, są tuż. Popchnąłem ją brutalnie wbrew mej woli.

Nagle usłyszałem tuż przy sobie – Hande Hoch! – Nagle cios w plecy mało mnie nie powalił na ziemię. – Wo ist waffen? – Wzruszyłem ramionami. Potężne kolano powaliło mnie na kolana. Nie zdążyłem wstać, kiedy jakieś potężne łapy zaczęły ściągać ze mnie panterkę. Teraz dopiero zobaczyłem naszych oprawców. Trupie czaszki na czapkach. Esesmani. Ale na rękawach jakieś dziwne naszywki. SS-Viking. Olbrzymi feldfebel pokrzykuje dyszkantem kopiąc na lewo i prawo. Nasze dziewczyny są policzkowane i kopane w straszliwy sposób. Esesmani zdzierają z nich panterki. Znów dostaję po twarzy. Esesman ryczy na mnie i wymachuje przed nosem pistoletem. Kątem oka widzę, że wyprowadzają dziewczęta w kierunku mostu. „Kapralinki” nie ma wśród nich.

„Leszczyc” tarza się na ziemi z bólu. Dwóch esesmanów kopie go po łądźwiach. Reszta jest poniewierana w ten sam sposób. Ludzie Łatyszonka stoją z boku przyglądając się z przerażeniem. Nagle feldfebel krzyczy do swoich falsetem: - Alles marschiren!

Esesmanni prowadzą nas w stronę wypalonego domu na Solec 53. Jest zimno. Dopiero teraz spostrzegam, że po zdarciu panterki mam na sobie koszulę oficerską, esesmańską,

zdobytą jeszcze na Woli. Jak zauważą to mnie zmasakrują. Zaczynam powoli ściągać ją z ramion, gdy potykam się o nieżywego berlingowca. Na nim płaszcz wojskowy. Błyskawicznym ruchem schylam się i udając potknięcie zdzieram drogocenne odzienie przy pomocy „Sępa”. Na podwórzu nowa komenda: - Wszyscy pod ścianę i ręce do góry! Jednocześnie dwóch esesmanów ustawia się naprzeciwko nas z karabinami maszynowymi.

Rozumiem, że to ostatnie chwile. W głowie mam absolutną pustkę. Może żal, że po tylu przeżyciach. Ale nic mi się nie przypomina, ani dzieciństwo, ani moi bliscy, ani żadne wzniosłe myśli. Stoję wmurowany, słucham szczęku repetowanych erkaemów, ten dźwięk przypomina, że to za chwilę. Nie wzywam Boga ni diabła, stoję i z przerażeniem stwierdzam, że nic nie myślę. Może to już po wszystkim? Oglądam się czy inni stają i nagle spostrzegam strach w ich oczach, widzę, że ostatni trzęsie się... Coś skacze mi do gardła, nie wiem co mnie pcha do tego, skąd bierze mi się impuls, odzywam się nagle: Chłopcy, głowy do góry, nie dajemy szkopom tej satysfakcji, żeby wiedzieli, że się boimy. – Ruhe! –krzyczy dyszkancik. Ale my stoimy prosto i patrzymy im w oczy. Nagle w tej ciszy, może przedśmiernej, słyszę dalekie kroki, nie pojedyncze, idzie jakiś oddział. Już blisko. Gruz, pobite szkło chrzęszczą coraz wyraźniej. Na podwórze wchodzi porucznik Wehrmachtu z małym oddziałem żołnierzy. – Was ist den loss? - pyta oficer. – To są bandyci na rozstrzelanie, schwytani dziś rano.

- Armia niemiecka respektuje Konwencje Genewską. Jeńców wojennych się nie rozstrzeliwuje.

- To nie są jeńcy, to bandyci – pokrzykuje dyszkancik.

- ja biorę odpowiedzialność za tych jeńców. Proszę odmaszerować z oddziałem.

Niedobrze mi, wyraźnie robi mi się słabo. Czuję, że za chwilę zemdleję. Opieram się o ścianę, pot zimny spływa mi ze skroni. Teraz boję się pokazać moją twarz towarzyszom broni.

Przypisy:

1. Generał Wilk Gen. Aleksander Krzyżanowski, komendant Okręgu Wilno
2. „Bajka”, statek spacerowy.
3. Geesy – utworzone w 1942 r., w ramach Wielkiej Dywersji tzw. Grupy Szturmowe. Miały kryptonim GS.
4. Dreizer to niemiecki karabin maszynowy.

Używane pseudonimy:

Kpt. Jerzy – Jerzy Białous; Andrzej Morro, Amorek, Andrzej – Andrzej Romocki; Słoń – Jerzy Gawin; Anoda, Janek – Jan Rodowicz; Witold, Czarny, Witold Czarny – Witold Morawski; Halicz – Henryk Kończykowski; Leszczyc – Tadeusz Sumiński; Śpioch – Julian

Laskowski; Kapralinka – Maria Matuszewska; Pingwin – Jerzy Kobza - Orłowski; Sęp –  
Wojciech Markowski; Wika – Maria Całka; Żereń – Jerzy Łukoski.